

# dodatek ABC niedzielnny

Maria Rutkowska



Błoto...

Idę ulicami. Wisi nad nimi szarość, nasiąkła dżdżem.

Chłodna mgła spada na miasto, jak osad. Spójrzcie tylko dookoła, ile naraz zobaczycie martwoty! Jakby w wielkiej hali fabrycznej zatrzymały się szeregi zepsutych maszyn.

Przedmieście...

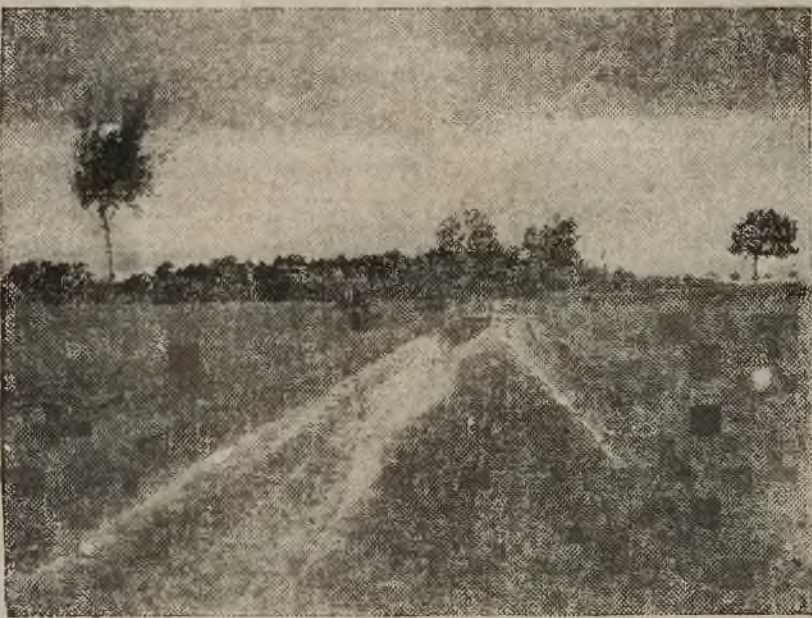
Mijam jedną, drugą niedokończoną budowlę. Opustoszałe, sterczą, jak olbrzymie i do niczego niezdatne szkielety. Życie, które niedawno jeszcze rozpinało na nich swą twórczą pracę, odeszło, ustało, jak ustaje ruch zastygającego w letargu ciała.

Kończą się na ulicach inwestycyjne roboty. Kończy się wszystko to, co było nadprogramowym wybuchem energii zautomatyzowanego pływającego torem spraw niezbędnych wielkomejskiego życia. Minęła pora błogosławiona...

Jesień...

Z biura, gdzie wypłacają za roboty publiczne, wychodzi w moją stronę grupa mężczyzn. Stają chwilę, licząc w garściach pieniądze.

— Psiakrew! Ostatnie grosze — rzuca naraz jeden nad głowami innych — Ostatnie... a co potem? Nikt mu nie odpowiedział. Cóż mieli mu odpowiedzieć? Wiado-



Jesień.

mo. Potem... to samo, co od lat. Stali bez ruchu, gdy ich mijalam. Wiatr snagał ich po twarzach, zsiniałych od zimna. Zaciskali na sobie marynarki z latami i zniszczone, zrudziałe palta. Stali, bo gdzie mieli iść? Do domów w suterynach, czy w barakach, gdzie już czaić się zaczynał po kątach głód. Zimno...



Do art. J. Szeptyckiego — str. 6.

Jesień...

Zniknęły z ulic przedmieścia kobiety i dzieci. Tłoczyły się tu jeszcze niedawno po chodnikach nad rynsztokami. Opustoszały „zielenice“ w robotniczych dzielnicach i gołe trawniki, rozciągające się nad dalekimi od śródmieścia brzegami Wisty. Skończyło się lato. Powietrze zostało w miescie tylko dla tych, których stać na całe buty i na palto. Zobaczenie teraz, ile powietrza mają dla siebie gromady rachitycznych dzieci i bladych kobiet po piwnicach, po tych ich „mieszkaniach“.

Jesień... Pora, kiedy zimny wiatr z deszczem ciska w twarz ludziom prawdę o psim życiu, wywleka przed oczy zapomnianą moję w słońcu krzywdę. Przygrywać im znowu zaczyna po nocach buntowniczą pieśń o wiecznej nierówności...

Idę ulicą. Wytorny magazyn śródmieści. W drzwiach portier, naciskający raz po raz lśniąca kłamekę. U wejścia magazynu ruch dziś wyjątkowo duży. Ileż miłych, wesolych pań. Wchodząc, zegnają uśmiechem odprowadzających je dobrze ubranych panów, albo idą ku drzwiom razem z nimi. Na rewiew mody.

Jesień...

Są ludzie dla których zmiana pory roku znaczy tyle, co zmiana

nia, bo zresztą niezdolne są go już dawać.

Z pomiędzy drzew, ścieżką, zastaną spadłymi liśćmi idzie naprzeciw mnie człowiek. Pochylony Szary. Twarz ma już w brózdach i siwe włosy na skroniach. Jesienny człowiek. Ież przewagi mają nad nim w tej chwili smutne drzewa. Dla nich nadejdzie nowa wiosna.

Jesień człowiecza...

Co było przedtem w życiu tego człowieka? Wiosna i lato pełne i prawdziwe? Czy łańcuch lat, znaczących w pory roku mniejszym i większym brakiem chleba? Czy monotonia bezzębnie pustych dni, ubranych w pozory spraw, w których nic się naprawdę nie kryje — monotonia ubogich dni sytego snoba?

Czy głód nienasycony, wyrosły z pragnień i tęsknot nieziszczonych, gorszy od głodu chleba?

Jesień...

Najgorsza wtedy, kiedy przed nią nie było żadnej wiosny i żadnego lata.

## Wanda Z cley



W zwykłą pustkę i ciszę Powązek wtargnęli żywi. Przyszli tu z miłością do swoich drogie zmarłych, z troską, aby na Ich święto upiększyć groby — mieszkanie wiecznego spoczynku. Niemal przy każdym grobie trzaskają się pracowite dłonie.

Mimo złości wiatru, który z niezwykłą siłą targa gałęzie drzew zrywając zeschłe liście, ludzie ci bez zniecierpliwienia, w jakimś niemal nabożnym skupieniu pracują dalej. Na wszystkich twarzach smutek, lecz jakże różny. Tu graniczy on z rozpaczą, wyciskając niedające się powstrzymać łzy, tam łączy się z ciłą rezygnacją. Jeszcze w innych życie z drogiem bliskim grobem jest już tak wielkie, że ból stracił całą swoją gorycz. — Tu matka gładzi grób swej zmarłej przed laty córeczki, jak kiedyś gładziła jej złote włoski z tą samą miłością.

### DOBRY DUCH POWĄZEK

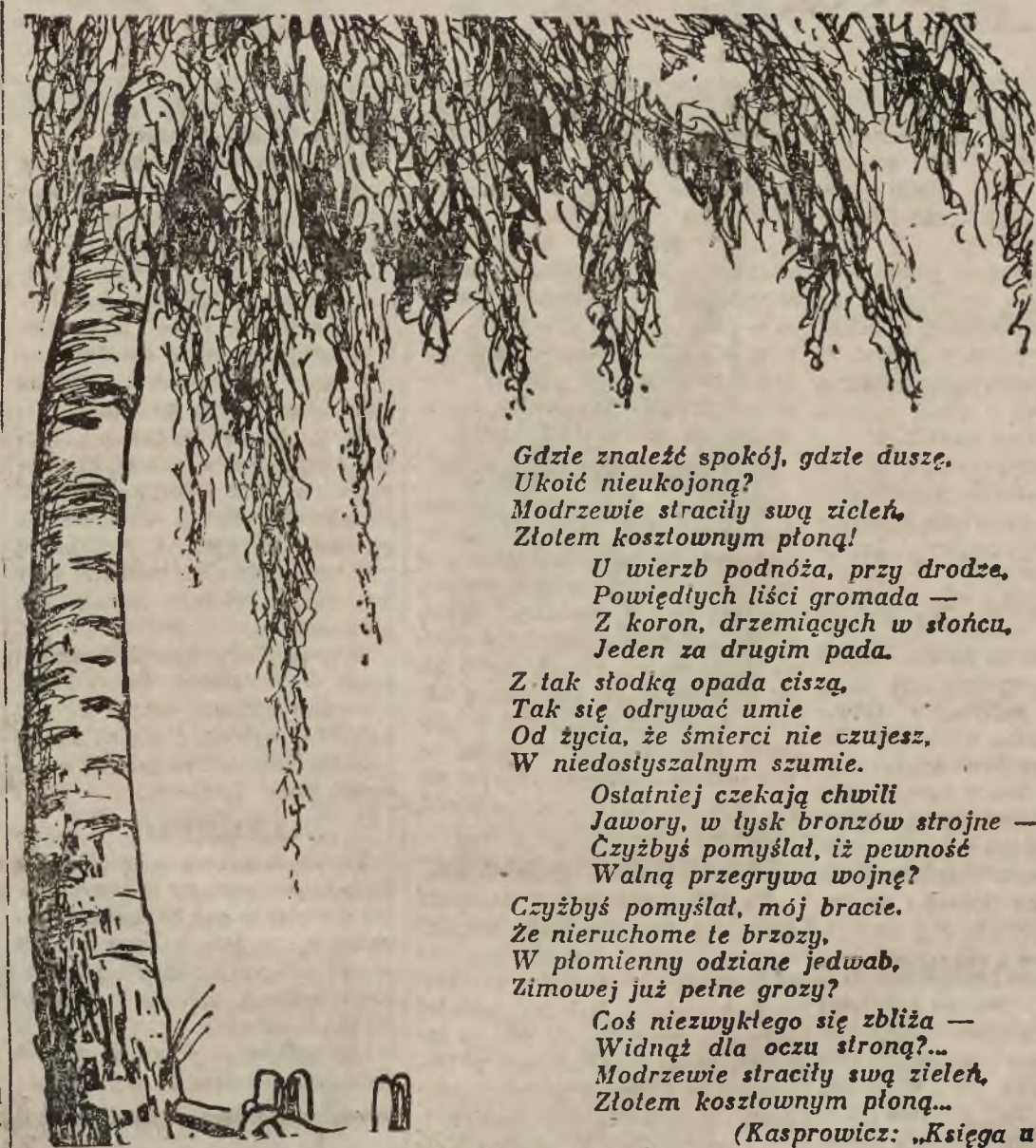
Wzrok mój, mimowoli, często biegnie ku starej, bardzo starej, siwej kobiecie. W twarzy jej, zorananej siecią zmarszczek nie ma smutku i bólu lecz coś bardzo miłego, pociągającego — wiele dobroci. Gdy oczy nasze po raz drugi spotkały się, staruszka przestała pracować i zagadnęła mnie: — Pani też przyszła do swoich?

Ma pani tu kogoś, ojca, matkę, brata? i nie czekając mej odpowiedzi zaczęła mówić o sobie.

— Bo wie pani, ja to już 20 lat stale przy grobach, chociaż nikogo ze swoich tu nie mam. Sama jestem na świecie jak ten palec, ale jak tu przyjdę to mi się zdaje, że ci umarli, których grobami opiekuję się, są mi wdzięczni. Bo chociaż ja za to dostaję pieniądze i z tego żyję, ale dbam o nich jak o swoich.

— Więc lubi pani swoją pracę?

— Tak bardzo się przyzwyc-



Gdzie znaleźć spokój, gdzie duszę.

Ukość nieukojoną?

Modrzewie straciły swą zieleni.

Złotem kosztownym płoną!

U wierzb podnóża, przy drodze.

Powiędłych liści gromada —

Z koron, drzemiących w słońcu.

Jeden za drugim pada.

Z tak słodką opada ciszą,

Tak się odrywać umie

Od życia, że śmierci nie czujesz,

W niedostępnym szumie.

Ostatniej czekają chwili

Jawory, w lusk bronzów strojne —

Czyżbyś pomyślał, iż pewność

Walną przegrywa wojnę?

Czyżbyś pomyślał, mój bracie.

Że nieruchome te brzozy,

W płomienny odziane jedwab,

Zimowej już pełne grozy?

Coś niezwykłego się zbliża —

Widnąć dla oczu stroną?...

Modrzewie straciły swą zieleni.

Złotem kosztownym płoną...

(Kasprowicz: „Księga ubogich“).

ilam. Ale najmilej mi jak mogę uporządkować choć jeden z grobów, o których nikt nie pamięta.

I zawsze na Zaduszki postaram się o kwiaty i palę świeczkę na takim niczym grobie...

Siedziała teraz obok mnie opuszczeni, w chwilowym odpoczynku swe spracowane dłonie i wydała mi się jasnym, dobrym duchem Powązek.

### CICHY TARG

Przed bramami cmentarza, jak zwykle o tej porze mnóstwo sprze-

gli, zapłaciliby każdą cenę za te dary dla zmarłych.

### ŻAŁOBNE CHORAGIEWKI

Przy jednym sprzedawcy chorągiewek kręci się mały, może trzyletni chłopczyk. Ciemne jak węgielki roześmiane oczy i wesoła twarzyczka dziwnie odbijają od tego tła. Mały jest owinięty aż po uszy matczynym szalem, a mimo tego dmucha w zmarłe łapiny. Teraz całą jego uwagę pochłonęła jasna rączka mojej parasolki, którą uchwycił.

— Januś, zostaw to — strofuje



— Sam z rodziną. Teraz przed świętami to się pracuje dniem i nocą, wszyscy i żona i dzieci. Bo to zarobek, na który liczymy przez cały rok. Za to choć trochę okupimy się na zimę.

— A stale czym pan zajmuje się?

— Bezrobotny jestem, pracuję tylko dorywczo. To też cały rok bieduje się, a teraz i Januszowi będę mógł kupić ciepły paltocik i buciki bo ma tylko te.

Spoglądam na małego. Przez dziury podartych chodaków widać małe stopki czerwone z zimna. Oby jak najprędzej były Zaduszki!

### KWIATY

— Kwiaty piękne kwiaty sprze daje — woła kwiaciarka podając mi pęk rzeczywiście przepięknych chryzantem.

Bo chryzantemy tu królują. Jest wiele gatunków i cała gama kolorów od niepokalanej bieli, po przez kilka odcieni lila do pysznych gorąco - złotych lub pięknej barwy starego złota.

I wszystkie te kwiaty i ziela, wiele jeszcze innych żal i ból żywych rzuci na groby miliona umarłych spoczywających tu w cieniu starych szumiących drzew.

— Dużo tu kwiatów idzie? — zwracam się do sprzedającej.

— Teraz przed świętami dużo, a najwięcej w same święta. Każdy co tu przychodzi, ma kogoś wśród zmarłych, któremu choć kwiaty chce ofiarować i tak biedny człowiek jakoś na chleb zarobi.

— Ten zarobek przedświąteczny to wielki zasilek dla pani?

— Za to, co teraz zarobię, węgla i stoniny na całą zimę kupię. I mężowi lekarstwo, bo chory. Żeby nie siedział, to nie wiem, jakbym poradziła...

Tak to święto Umarłych ratuje największą nędzę wśród żywych. Błogosławiony ból i łzy...